

Trans, dźwięk. Jak mamy „Czarodziejski flet”

Wszystko tu iskrzy, mży, jak nigdy dotąd czaruje światłem. I muzyką, która brzmi przepięknie, wreszcie słyhać ją znakomicie.

Bohaterowie śpiewają wspaniale, gorzej, gdy zaczynają mówić.

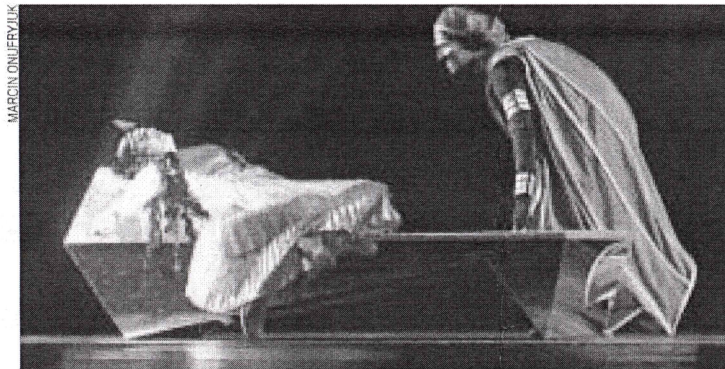
MONIKA ŻMIJEWSKA

Czego jednak nie dopowiedzą, to dośpiewają, soliści i chórzyscy - co zrozumiale - właśnie w warstwie muzycznej czują się jak ryba w wodzie. I tu spisują się świetnie, zresztą muzyka Mozarta to jedna z największych wartości najnowszej premiery w Operze i Filharmonii Podlaskiej. To historia miłości księcia egipskiego Tamina i córki Królowej Nocy - Paminy, którym po licznych perypetiach i próbach, mimo intryg matki dziewczyny, udaje się dojść do szczęśliwego finału.

Cyfrowy trans

„Czarodziejski flet” w reż. Jarosława Marszewskiego od kilku tygodni zapowiadano jako widowisko wizualne, z zastosowaniem najnowocześniejszych osiągnięć techniki cyfrowej, przy rezygnacji z ciężkiej, tradycyjnej scenografii.

Niemal całkowicie pusta scena, jakieś drobne fizyczne elementy scenografii, do tego rekwizyty w dłoniach bohaterów, które bardziej mają charakter skrótu czy znaku, niż pełnią ilust-



To widowisko wizualne, z zastosowaniem najnowocześniejszych osiągnięć techniki cyfrowej, przy rezygnacji z ciężkiej, tradycyjnej scenografii

cyjną rolę. A jednak widzowie są mamieni, złudzeni, że postaci przebywają w jakiejś baśniowej, pełnej kolorów przestrzeni - jest olbrzymie. Muzyka i tekst powołane do życia ponad dwieście lat temu zaskakująco ciekawie łączą się z nowoczesną technologią.

Nowością w spektaklu białostockiej opery jest scenografia budowana przez multimedia aż w tak dużym stopniu - to one właśnie generują czarowne złudzenie baśniowego świata. To przestrzeń trochę bajeczna, trochę tajemnicza, hipnotyzująca i transowa, w której jest miejsce na galaktyczne konstelacje, mgławice, atmosferyczne wyladowania, świetne pajaki, tajemnicze znaki (multimedialna scenografia i kostiumy - Monika Graban i Radosław Dębniak). Z sufitu spływają przesłony, dające niekiedy wrażenie obrazu w 3D, z boku wjeżdża laserowy las, przesuwają się ruchome elementy sceny, postaci wy-

suwają się z podziemi, zstępują w nie. Czasem scena wygląda tak, jakby rozsypało się nad nią milion światełek, a czasem, jakby pożerał ją ogień.

Wielobarwny konglomerat

Co istotne - atrakcyjny multimedialny wymiar tego spektaklu nie jest pustym ozdobnikiem, często współgra z treścią, z ciekawymi strojami tworzy spójną całość. W przestrzeni wyznaczanej przez odpowiednio sterowane światło i cyfrowe projekcje opalizują detale kostiumów, czasem to tylko jakiś drobny element, a robi wrażenie.

Operowe pary mają podobne kolorystycznie stroje, zaś gadzety (choćby pudełko z dzwonczkami czy zawierające tytułowy flet) mają konsekwentne i spójne w stosunku do całości kształty.

Łatwo byłoby się w tym wszystkim pogubić, łatwo byłoby też przedobrzyć - bowiem w operze Mozarta pojawiają się postaci z różnych epok, a więc i róż-

ne style. Są wątki arabskie i afrykańskie, a jakby jeszcze tego było mało - Ptasznik, który swoją frywolnością bardziej kojarzy się z renesansową szekspirowską poetyką niż orientalną egzotyką. Tymczasem to m.in. kostiumy całą tę barwną fantastyczno-filozoficzną czeredę jakoś porządkują i organizują.

Muzyczny majstersztyk

Na szczęście cyfrowy wymiar spektaklu nie przytłumia jego jednej z najważniejszych, jeśli nie najważniejszych - części składowych - cudownej, pełnej lekkości i emocji muzyki, która jest wizytówką Mozarta. Majstersztyk kompozytora, pełen kunsztownie rozpisanych muzycznie scen zespołowych i kameralnych na grunt białostocki dobrze przenoszą nasi muzycy (podczas premiery prowadził ich kierownik muzyczny opery Michał Klauza).

Tak jak i roziskrzone światłem jest widowisko, tak i ta muzyka w wykonaniu Orkiestry Opery i Filharmonii Podlaskiej skrzy od emocji i dźwiękowych niuansów, ilustruje doskonale zmieniający się klimat spektaklu - czy jest on frywolny i zabawny, czy melancholijny.

Podobnie sprawa się ma w przypadku pięknie poprowadzonych partii solistów czy chóralnych (pod kierunkiem Violetty Bieleckiej) śpiewanych w języku oryginału: twardy język niemiecki uzyskuje w ich wykonaniu nieoczekiwaną miękkość.

Wiele śpiewanych partii z „Czarodziejskiego fletu” zapada w pamięć. Bardzo trudna aria Królowej Nocy (w premierowym spektaklu to: Maria Rozy-

nek-Banaszak), pełen rozpaczy i miłości śpiew Paminy (Iwona Sobotka), gdy wydaje się jej, że została odrzucona przez ukochanego; potężna basowa partia mądrego Sarastro, arcykapłana Izidy i Ozyrysa (Remigiusz Łukomski), w której wydaje się, że już niżej dźwiękiem zejść nie można, a jednak można; czy też rozmowa - swoisty recytatyw Tamina (Aleksander Kunach) z Pierwszym Kapłanem Przemawiającym (Piotr Nowacki).

Papierowo i niekonsekwentnie

Niestety, gorzej jest z dialogami (postaci wygłaszają je w języku polskim między ariami śpiewanymi po niemiecku, wtedy na ekranie możemy przeczytać tłumaczenie). Artyści w większości zdecydowanie lepiej śpiewają, niż grają, gdy przychodzi do mówienia - są dość papierowi, sztywni, mało wiarygodni psychologicznie.

Choć jest też oczywiście trochę kameralnych scen zagranych (czy za tańczonych) dość naturalnie i lekko. Mimo wizyjności zdarzają się też w widowisku spore mielizny, które na dłuższą metę nieco nużą.

Najważniejszą jednak część „Czarodziejskiego fletu” - muzyka - jest bardzo sugestywna. I to w połączeniu z eksperymentowaniem z multimedialnym jest podstawową wartością białostockiej inscenizacji.

Najbliższe spektakle „Czarodziejskiego fletu”: 2-4 stycznia, 17-18, 25, 31 stycznia, 1 lutego, godz. 19.00

Więcej na

bialystok.wyborcza.pl